

Rajd łączył narody

W piątek 10 maja z naszego miasta wyruszył olbrzymi rajd motocyklowy „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę”, który przebiegał przez Polskę, Rosję, Litwę, Łotwę i Białoruś. Tegoroczna wyprawa to już czwarta z kolei w ramach projektu „Rajd szlakiem hymnu”, który ma przybliżyć wartości i symbolikę, jakie niosą ze sobą słowa naszego hymnu narodowego. Uczestnicy rajdu odwiedzali miejsca historycznie związane z Mazurkiem Dąbrowskiego. Międzynarodowy rajd, który wystartował z Gryfina, zakończył się majówką z gen. Józefem Wybickim w Muzeum Hymnu Narodowego w Będominie 26 maja br. O przebiegu wyprawy, kłopotach i radościach na trasie, a także o odbiorze rajdu w Polsce i w innych krajach na Wschodzie rozmawiamy z pochodzącym z naszego miasta pomysłodawcą i organizatorem rajdu ks. Janem Zalewskim.

Redakcja: Czy w trakcie tak dużego rajdu, który przemierzył kilka krajów na Wschodzie, były jakieś kłopoty na granicach?

Ks. Jan Zalewski: Na granicach Polski z Białorusią i Białorusi z Rosją wszystko było w porządku. Poprowadziła nas policja, nawet nie poddano nas kontroli celnej. Kłopoty były na granicy Rosji z Łotwą, kiedy podjeżdżając tak liczną grupą motocyklowo-autokarową, zablokowaliśmy przejście. Wtedy już mundurowi nam nie odpuścili i dokładnie nas kontrolowali. Do tego stopnia, że autokar, który jechał z nami, został poddany rosyjskiej osobistej kontroli celnej. Z kolei Łotysze to straszni służbiści i u nich przeprawa trwała bardzo długo ze względu na formalności związane z wjazdem na terytorium Unii Europejskiej.

Red.: Jak byliście przyjmowani w miejscach, które odwiedzaliście i na ile było w nich widać polskie akcenty?

Ks. J.Z.: Na całej trasie mieszkańcy wszystkich krajów obserwowali nas z ciekawością, wychodzili na drogę, pytali nas skąd i dokąd jedziemy, po co jedziemy. Limuzyny nie wzbudzają takiego zainteresowania jak motocykle jadące zwartą kolumną. Jeśli mówimy o samych miejscach napoleońskich, to rozczarowaliśmy się dwoma – w Borysowie, gdzie była przeprawa Wielkiej Armii cesarza Napoleona Bonaparte przez Berezynę, upamiętnionych jest wiele krajów, brak jest polskiego choćby akcentu o legioń gen. Dąbrowskiego. Z kolei pod Borodino pomnik już jest, ale tylko Wielkiej Armii Napoleona, mało się tam o 5 Korpusie księcia Józefa Poniatowskiego pamięta. Natomiast jasnymi punktami na trasie był, m. in. prawosławny klasztor w Ostaszku, gdzie znajduje się muzeum z polskimi pamiątkami, mundurami policyjnymi z 1939 r., monetami, medalikami religijnymi. Bardzo miło przywitani nas także moskiewscy motocykliści, kiedy do Moskwy dotarliśmy już późną nocą. Ugościli nas nawet w swojej bazie. Na całej trasie nie spotkaliśmy się z żadnymi oznakami niechęci, nie dostaliśmy żadnej przymusowej eskorty, nie byliśmy kontrolowani na drogach. Wręcz przeciwnie, bardzo życzliwie nas przyjmowano, nawet, co mnie osobiście zaskoczyło, na Białorusi. A w, tzw. polskich miejscach, które były celami naszego rajdu, uderzało to, że tamtejsi mieszkańcy dbają o miejsca urodzeń naszych wybitnych rodaków, o domy, w których się rodzili. Pamięta się tam bardzo, np. o Adamie Mickiewiczu i Czesławie Niemienie.

Red.: Czy w trakcie rajdu pojawiły się jakieś kłopoty?

Ks. J.Z.: Problemem całego rajdu było to, aby mimo bardzo długiej trasy, nie rezygnować z ustalonego programu oraz nie spóźniać się na zaplanowane spotkania.

Red.: A kłopoty z motocyklami?

Ks. J.Z.: Oczywiście zdarzały się, dlatego też mieliśmy ze sobą samochód techniczny, który mógł zabrać na pakę motocykle. Marka, która najbardziej się psuła i to wszystkim uczestnikom rajdu, którzy jechali na tych motorach, to BMW. Ja na mojej Hondzie miałem dwa problemy. Pod Orszą zabrakło mi paliwa, 5 km przed celem. Zajechałem na stację benzynową, ale okazało

Ks. J.Z.: Poważne kłopoty zdrowotne miał tylko jeden kierowca, który strasznie osłabł i miał palpitacje serca. Musieliśmy aż wzywać karetkę. Pół etapu rajdu przebył więc samochodem, a pół na motocyklu. Każdy z uczestników był bardzo zmęczony fizycznie. Ja wciąż dochodzę do siebie.

Red.: Na księdzu ciążyła także odpowiedzialność organizatora.

Ks. J.Z.: Tak jest. Pod tym względem to ja byłem tym, do kogo zwraca

Red.: Wspomniał ksiądz o spóźnieniach na trasie, a jak było z pilnowaniem trasy?

Ks. J.Z.: To zaskakujące, ale pierwszy raz motocykliści i towarzysząca nam ekipa telewizyjna zgubili się zaraz za Gryfinem, przy wyjeździe na Kołbacz (śmiech). A w czasie całego rajdu bardzo sprawdzał się system, kiedy kierowca prowadził jeden samochód techniczny, a samochód prasowy zamykał. Jechaliśmy przez całą tra-

bus, który całą trasę jechał z nami. Zgubił się w Augustowie, bo kierowca pomylił kościół, który mieliśmy odwiedzić (śmiech).

Red.: Na trasie mieli pojawiać się motocykliści, którzy mieli dołączać na pewnych etapach. Jak to wyglądało?

Ks. J.Z.: Na konkretnych odcinkach dojeżdżali do nas pojedynczy motocykliści lub całe grupy. Umawialiśmy się z nimi jakoś szczególnie, po prostu spontanicznie do nas dołączali i nam towarzyszyli. O naszej trasie przejazdu dowiadywali się od znajomych, w internecie oraz z mediów ogólnopolskich, bo nie raz spotkaliśmy się w pewnych miastach, że mieszkańcy mówili nam, że widzieli nas w telewizji. To bardzo miłe, że media w całej Polsce zauważyły nasz rajd. Co do tych dołączających motocyklistów, to był jeden przypadek, kiedy młody chłopak zaczął się popisować i rozbił swój motocykl. My, mając za sobą i przed sobą tyle kilometrów, jechaliśmy spokojnie. Nasz styl jazdy był bardzo rozważny i przez większą część rajdu towarzyszyła nam piękna pogoda. Czasem popadało, ale ani razu nie jechaliśmy w ulewie.

Red.: Jakie miejsca, jakie osoby zapamiętał ksiądz z tego rajdu szczególnie?

Ks. J.Z.: Katyń wywarł na mnie duże wrażenie, tzn. kiedy dojechaliśmy na miejsce wszyscy uklękliśmy na cmentarzu przed ołtarzem i modliliśmy się w zadumie. Było to bardzo mocne przeżycie. Odwiedziliśmy także miejsce katastrofy smoleńskiej i udało się nam podjechać motocyklami do miejsca, gdzie spadł rządowy Tupolew, czego nie można robić na co dzień. Bardzo sympatycznym wydarzeniem był moment, kiedy w Trójmieście arcybiskup Sławoj Leszek Głódź pojechał razem z nami na motocyklu, choć sam nie kierował. Bardzo ciepło przyjęto nas także w Warszawie, gdzie zaangażowały się wszystkie dzielnice. Kiedy dojechaliśmy na miejsce widziałem sporą ilość dzieci, wojska, co było imponujące. Zapytałem nawet, co to za uroczystość jest organizowana i byłem bardzo zaskoczony, kiedy okazało się, że to z okazji naszego rajdu. Było to bardzo miłe. W Warszawie nasz przejazd zorganizowano z wielkim rozmachem, zaangażowaniem, zorganizowano nawet inscenizację historyczną, a mi w zaszczycie przypadło odpalenie jednej z armat.

Rozmawiał Maciej Wróbel

Kronika rajdu, pisana przez jego uczestników i szczegółowe relacje dostępne są na stronach: www.szlakiem-hymnu.blogspot.com oraz www.zaciszze.waw.pl



Organizowany przez ks. Jana Zalewskiego tegoroczny rajd wyruszył 10 maja z pl. Barnima

się, że był na niej tylko gaz. Ostacnie benzynę przywiózł mi kolega, a dostał ją... za darmo od białoruskiego milicjanta. Druga przeszkoda pojawiła się z mojej winy, bo przy przejeździe kolejowym pod Borodino uderzyłem w wystający tor i zaczął cieknąć mi olej. Udało się załatać niewielką dziurę, ale podsumowałem to w ten sposób, że mój koń został ranny pod Borodino (śmiech).

Red.: Kłopoty ze sprzętem są nieuniknione podczas tak długiego rajdu, a jak było z kondycją i zdrowiem jego uczestników?

cali się wszyscy uczestnicy z kłopotami, to ja musiałem pilnować wielu spraw. O ile podróż na motocyklu była wyczerpująca fizycznie, o tyle rola koordynatora psychicznie. Wiele słów uznania należy się dwóm paniom z PTTK Mazowsze, który był formalnym organizatorem. Jedna pani jechała w autokarze z młodzieżą, a druga z motocyklistami. Obie bardzo pomagały nam pod względem formalnym, wypełniały wszystkie dokumenty, drukarki, przygotowały wizy, zaplanowały i zorganizowały noclegi, ubezpieczenie, zajęły się wszelkimi opłatami. Ich praca była profesjonalna.

se na Białorusi i w Rosji w mniej więcej 18 motocykli, czyli udało się stworzyć jedną grupę, ale zawsze ktoś się zagubił, bo zjechał na stację tankować, a to siedział się przy kawie. Później samochód techniczny nie mógł już pilotować i trochę organizacja szła słabiej, bo, np. pilotować chcieli ci, którzy nie znali dokładnie trasy. Wyznaczyłem więc miejsca w pelotonie i najsłabsze motocykle jechały najpierw, a najszybsze z tyłu, bo ci kierowcy, którzy mogli pojechać szybciej, zwyczajnie nam znikali, a tempo powinien wyznaczać najsłabszy. Raz zgubił się także auto-